Zeszyt 4. Rok I.



Lwów 21. Lutego 1886. **Tygodnik belletrystyczny.** Wychodzi co niedzielę.

Przedpłata wynosi:
we Lwowie rocznie zł. 7·40 — półrocznie zł. 3·70 — kwartalnie zł. 1·85.— Z przesyłką pocztową rocznie 8 zł. półrocznie 4 zł. — kwartalnie 2 złr. Za granicą 16 marek.

Adres administracji:
Lwów, ulica Jagiellońska l. 16.
(Kantor „Drukarni Polskiej").

Redaktor i wydawca STANISŁAW MANIECKI.

MARZNĄCE FALE.

POWIEŚĆ

przez WALEREGO PRZYBOROWSKIEGO

(Ciąg dalszy.)

Jeżeli atoli już teraz Iza była spokojną i panią siebie, Zaremba takim nie był. Czuł on jeszcze na swej twarzy namiętne pocałunki dziewczyny, a smutne i melancholijne zwykle jego spojrzenie gorzało teraz szalonym ogniem. W chwili gdy Iza usiadła znów przy nim, objął ją wpół i pocałował gorąco, długo. Ale ona zaraz zręcznie wysunęła się z objęcia i biorąc jego ręce, ułożyła mu je spokojnie z zalotnym uśmiechem na kolanach i rzekła:

— Proszę być grzecznym, proszę tak siedzieć i nie ruszać się.

Poczem przybierając poważną pozę, poczęła szczebiotać:

— Uczę się roli. Dano mi ją przecież. Ale co ja musiałam przejść, co się nakłócić! Jestem najnieszczęśliwszą ze wszystkich istot na świecie! Zapominają o mnie, dokuczają mi. Żebym ja miała tyle zręczności, bym umiała tak szkaradnie, bezwstydnie umizgać się do każdego, jak ta... panna Mariano... tobym ciągle grała, chwalonoby mnie, oklaskiwano... Ale cóż, ja sobie jestem biedna, prosta dziewczyna i nawet zaczynam wątpić, czy mam talent... Powiedz mi pan, panie Zygmuncie, czy ja mam talent?

— Masz go Iziu, bez wątpienia.

Mówił to swym zwykłym, smutnym głosem. Widocznie męczyły go te wiekuiste skargi, których za każdym razem, ilekroć się widział z Izą, musiał się nasłuchać do syta. Siedział trochę oparty o poręcz kanapy i machinalnie przesuwał na palcu złotą obrączkę ślubną.

— Tak się to mówi — odrzekła dziewczyna — ale ja temu nie wierzę.

I nie czekając na odpowiedź Zaremby, chwyciła sekstern ze stołu i poczęła czytać z prawdziwie artystyczną siłą i ogniem:

„Kocham go, kocham więcej niż wszystko, niż Boga samego. Opinja mię nic nie obchodzi, gotowam mu się rzucić w ramiona na najludniejszym placu miasta..."

Przerwała i rzucając z uniesieniem zeszyt na ziemię, załamała swe śliczne, białe ręce i zawołała:

— Ach! jakie to śliczne! — i nim się znów Zaremba mógł spostrzedz, obsypała go pocałunkami.

On chciał ją objąć ramionami, przyciągnąć do siebie, posadzić na kolanach, ucałować koralowe usta, popatrzeć w turkusowe oczy, ale wywinęła mu się z rąk i zaczęła tańczyć po pokoju, przyspiewując sobie powszechnie znanego walca.

Zaremba gorzał cały. Młoda krew wrzała w nim ukropem, wszystkie zmysły były w nim wzburzone. Oblany krwią na twarzy, wzrokiem namiętnym ścigał szalejącą dziewczynę, jej zwroty, jej sukienkę lekko podniesioną, z pod której ukazywała się maleńka, ślicznie obuta nóżka. Krew grała w nim na wszyst-

kich strunach zmysłowości. Wsłuchiwał się w jej srebrny głos, który przyciszony, kwilący jak dziecię, snuł się w tonach walca melancholijną, wesołą niby, a żałosną nutą. Po włosach złotych dziewczyny przemykały się błyskawicą blaski lampy, ślizgały się po jej biuście dobrze zarysowanym, po jej jasnej sukience. Z każdym ruchem dźwięczały bransolety u jej rączek, szeleściała sukienka, skrzypiała podłoga pod jej nogami.

Można było oszaleć. To też Zaremba formalnie szalał i Iza to spostrzegła. Przestała tańczyć, padła na krzesło, wyciągnęła przed siebie nogi, tak, iż widać było białe pończoszki, głowę przechyliła w tył, a ręką poczęła przytrzymywać zbyt silnie bijące serce. Wyglądała jak bachantka, jak ucieleśniony zmysłowy ideał miłości. Oddychała głęboko i kaszlała lekko. Zwykle blade jej policzki okryły się silnym rumieńcem, a z na pół uchylonych ust widać było dwa rzędy ślicznych białych zębów.

Zaremba wstał, objął rękami tę główkę, z której zwisały zwoje złotych włosów i ucałował zmęczoną dziewczynę w same usta. Zerwała się i rzekła:

— Siądź pan tam na kanapie i nie ruszaj się, bo poproszę mamy. A to co znowu? — tupnęła nóżką — któż to widział całować mię tak bez ceremonji? No, siądź pan tam...

— Dobrze, ale siądziesz przy mnie, Iziu — szeptał przerywanym z gwałtownego wzruszenia, błagającym głosem Zaremba.

— Nie, boś pan niegrzeczny.

— Iziu, dlaczego uciekasz odemnie?

— Ja? ja uciekam! Bogowie! — zawołała z patosem teatralnym, z aktorską powagą. — Bogowie! wzywam was na świadków, czy ja uciekam od tego człowieka.

I opierając się na stole, który przedzielał sobą ich oboje, wlepiła w Zarembę swe zalotne, ogniem wzruszenia ożywione oczy i mówiła:

— Któż to jest tak bezwstydną, że całuje mężczyznę? kto pozwala się w pół obejmować? Kto, jeśli nie ja? I pan śmiesz się jeszcze skarżyć!

Wyprostowała się, podniosła znów z aktorską pozą rękę i dramatycznym głosem zawołała:

— O mężczyzno! twoje miano: niewdzięczność!

Zaremba siedział nieruchomy, patrzał i słuchał tego wszystkiego, śmiejąc się głośno i pożerając oczyma dziewczynę.

Ona spojrzała w lustro, poprawiła znowu wzburzoną grzywkę na czole i rzekła tonem spokojnym, zwykłym i poważnym, na pół szepcząc i oglądając się dokoła:

— Cóż pan myślisz, mój Boże, iż ja nie wolałabym siedzieć przy tobie, przytulić się do ciebie i dać się całować, całować, choćbym na śmierć miała być zacałowaną... Przecież i ja jestem z krwi i ciała, i ja jestem młoda... A zapomnieć się tak łatwo...

— Ach! cóż jabym dał za to, Iziu, żebyś ty się zapomniała! — wtrącił z ogniem Zaremba.

— Cicho pan bądź! — tupnęła nóżką — nie mów pan niedorzeczności. Za jedną chwilę szczęścia i rozkoszy cierpieć całe życie? nie! nie chcę...

— Wszystko to co mówisz, Iziu, jest prawdą. Ale kiedyż używać życia, jak nie w młodości? Jesteśmy oboje młodzi, kochamy się...

— Nie! nie! nie kuś mię...

— Żebyśmy sobie tylko później nie powiedzieli...

— Ach! jacyśmy byli głupi oboje!... — przerwała dziewczyna i zaśmiała się. — Prawda! to pan chciałeś powiedzieć?

— Tak, mniej więcej to samo.

— I masz pan zupełną słuszność, ale ja na to nic nie poradzę. Nie mówmy o tem, to brzydko. Proszę pana, która godzina?

Zaremba spojrzał na zegarek i zerwał się, jak gdyby sobie coś przypomniał i znowu usiadł. Dziewczyna spojrzała na niego bystro i rzekła:

— Czemu mi pan nie mówisz, która godzina?

— Wpół do siódmej.

— Ach! mój Boże! ja dziś gram. Marysiu! Marysiu! zabieraj rzeczy, wychodzimy. Spóźnię się i zapłacę karę. Och! jakże ja się zapominam w pańskiem towarzystwie!

I gorączkowo poczęła narzucać na siebie płaszczyk i owijać czerwonym szalem głowę. Stanęła przed lustrem i raczej czując niż widząc pożerający ją wzrok Zaremby, starannie i z kokieterją sobie właściwą poczęła się przystrajać tym szalem. Jej maleńka, matowa twarzyczka, z gorejącemi ogniem niedawnych pocałunków lazurami oczów, w tej purpurze szala wyglądała jak stara kamea grecka na koralowem tle. Zaremba zbliżył się do niej, nachylił i szepnął:

— Jeszcze jeden pocałunek Iziu.

Objęła mu głowę rękami, przyciągnęła do siebie i ucałowała, a potem odsuwając się, posłała mu ręką od ust całunek.

Już też Marysia weszła z pakunkiem sukien i różnych fatałaszków.

— Odprowadzę panią! — rzekł Zaremba.

— Może to nie wypada — zaśmiała się.

— Albo odwiozę panią, powozik mój czeka.

— Nie, nie chcę, wolę żebyś mnie pan odprowadził.

Przeszli przez duży pierwszy pokój, w którym matka Izi siedziała i paląc papierosy, kładła pasjansa z brudnych jak nieszczęście kart, przeszli przedpokój, spadziste schody, cuchnący dziedziniec i znaleźli się na ulicy.

Noc już była zupełna, noc posępna, zimowa, z niebem czarnem, bez gwiazd. W głębiach tych ciemności migotały tylko czerwone, drżące światła latarni. Ludzie żywo przebiegali, bo zerwał się wiatr zimny i wył po ulicach jak stado psów spuszczo-

nych z łańcucha. Powietrze było posępne, mroczne i smutne.

Zaremba podał Izi rękę, przytulił ją do siebie. Uwiesiła mu się u ramienia zręcznie, zgrabnie i silnie. Kazał stangretowi zatrzymać się na rogu ulicy, a sam poszedł z dziewczyną dalej. Za nimi dreptała Marysia z pękiem fatałaszków Izy, w które miała się ubrać, występując na scenę.

Przechodząc w poprzek ulicy, wpadli na jakąś pędzącą bryczkę, która ich omal nie przejechała.

— Och! — zawołała Iza, stając na chodniku — jakżem się przestraszyła.

— Nie było czego...

— Ach! nie o życie mi szło, ale o to, żeby jutro cała Warszawa wiedziała, że nas na ulicy wieczorem we dwoje idących przejechano. Coby to był za skandal...

Odprowadził ją do teatru, ucałował ręce dziewczyny i smutny, zamyślony, powlókł się do czekającego nań powoziku.

— Do domu! — zawołał, siadając i otulając się paltem.

V.

Deszcz połączony ze śniegiem, chłostał jadącego do domu Zarembę. Niebo było ponure i bez blasku, jak ponurą i ciemną była jego dusza. Kochał on tę dziewczynę, z którą przed chwilą się rozstał, z namiętnością tych późnych uczuć, które są podobne do wybuchów wulkanu. Mają one ich huk, ich blask, ale też i krótkotrwałą ich siłę. W tej chwili jednak w sercu jego szalała jeszcze namiętność z całą mocą, zręcznie podsycana przez aktorkę, która może grała z nim jedną z tych ról, jakie przyzwyczajona była grać na scenie. Był smutny, bo wszystkie przygasłe przez czas namiętności, wszystkie uspione porywy wlał w to uczucie. Zapomniał teraz o swych nadziejach, zamiarach, ideałach i marzeniach.

Widział ciągle tylko jej usta różowe, jej oczy takie błękitne jak niebo wiosenne, jej głos, którego melodja wydawała mu się być najcudniejszą, najpiękniejszą.

Uczucie to zresztą, jak wszystkie uczucia, których podstawą jest kłótnia z ustalonym porządkiem społecznym, budziło w duszy Zaremby smutek ponury i niezadowolenie. Był żonatym, a kochał się w aktorce. Bądź co bądź, nie było to dobrze.

Powóz jechał alejami, na końcu których Zaremka miał niewielki, ale gustowny pałacyk w głębi dość dużego ogrodu. Przyroda była pełną posępności. Drzewa sterczały nagie, a z tych, na których jeszcze pozostało trochę liści żółtych, połamanych i pomarszczonych, spadały one z głuchym szelestem, miotane wiatrem, unoszone daleko. Od czasu do czasu suche gałęzie lip i topoli, szarpnięte silnie przez wichry, tłukły się o siebie bezwładnie, wydając przeciągły zgrzyt.

Świat był tak okropnie ponury, taki czarny, i we wrażliwej duszy Zaremby poczęły się tłuc senne, cmentarne widma, senne grobowe marzenia. Zdawało mu się, patrząc na te drzewa nagie, na te czarności nocne, słabo i migotliwie oświetlone rzadkiemi latarniami, wsłuchując się w wycie wichru, w szelest drobnego, nieustannego deszczu, że już dlań w życiu raz na zawsze brakło wesołych, jasnych, szczęśliwych barw. Wrony stadami unosiły się nad suchemi topolami, lub siadając pojedynczo na szczytowych ich gałęziach chwiały się za najlżejszym podmuchem wiatru. Złowieszcze ich krakanie rozlegało się dokoła wśród ciszy. Od latarń, z okień oświetlonych w domach padały na błoto ulicy smugi żółtego światła, które tworząc nagły kontrast z ciemnościami nocy, robiły jej czarność więcej jakoś ponuną i straszną.

Nakoniec przyjechał Zaremba do domu. Na twarzy miał wszystkie jeszcze prześnite przed chwilą wrażenia i wszystkie smutki, gdy wszedł w progi swego domu. W wielkiej, ciepłej, poważnej sali, której ściany wyłożone były dębowem i suto rzeźbionem drzewem, koło okrągłego stołu na środku, oświetlonego wiszącą lampą, zastał trzy osoby, stanowiące jego rodzinę.

Najprzód w dużym, wygodnym fotelu, zwróconym bokiem do stołu a przodem do marmurowego kominka, w którym gorzał wesoły ogień, siedziała a raczej leżała pani domu, kobieta w sile wieku, w najpiękniejszej chwili życia każdej Polki, trzydziestoletnia, piękna jeszcze i okazała. Ubraną była w ciemną suknię i w duży, miękki, puszysty szal ponsowy. Szal ten jaskrawą swoją barwą dziwnie odbijał od białej, delikatnym rumieńcem okraszonej twarzy, od jasnych, jak złoto mieniących się włosów, które w bujnych puklach zwijały się nad śliczną, jak z marmuru utoczoną szyją. Twarz tej kobiety, jakkolwiek nie wabiąca urokiem pierwszej, wiośnianej młodości, była przecież jeszcze bardzo piękną, a duże, lazurowe i wilgotne oczy patrzyły z pewną dumą i melancholją; nos prosty jak u antyków greckich, usta różowe uśmiechały się zalotnie. Biust wydatny, pełny, nóżka maleńka, strojnie ubrana i leżąca wygodnie na miękkim taborecie, nadawały tej wytwornej postaci niewieściej jakiś powab, jakiś wdzięk. Leżała ona w fotelu i przerzucała oczami, bo nie czytała, świeżo przyniesione z poczty *Figaro*.

Po jej złotych włosach, po jej białych rękach ozdobionych suto pierścionkami, ślizgało się jasne, spokojne światło lampy i spotykało się z krwawemi blaskami gorejącego w kominku ognia. Z kominka wychylał się, na pół ukryty w cieniu, duży bronzowy zegar w stylu barocco i cicho stukał wahadłem. Ze szczytu jego uśmiechała się złocona grupa pasterza i pasterki, całujących się namiętnie. Wyglądali oni na przebranego duca i markizę i w zalotach swoich idylicznych zachowali całą grację barokowej doby.

Na wielkim kapeluszu tego zegarowego korydona, światło zapalało się oślepiającym, błyskawicznym blaskiem. Obok zegaru stała dobrze oświetlona porcelanowa figurka Napoleona I, w szarym surducie, stosowanym kapeluszu, wysokich palonych butach i z rękami założonemi na piersi. Jego białe rabaty widać było z daleka, a poważna, zadumana postać tego wielkiego wojownika zdawała się melancholijnie spoglądać z wyżyn kominka na leżącą na fotelu Zarembinę i na jej śliczne, zalotnie odkryte nogi.

Zdawała się być pogrążoną w czytaniu *Figara*, a przecież od czasu do czasu z po za gazety rzucała przelotne, szybkie i bystre spojrzenie na przechadzającego się po pokoju mężczyznę. Obserwacja ta wywołała po niejakim czasie uśmiech na jej pięknej twarzy, uśmiech pełen delikatnego szyderstwa.

Był to młody człowiek, silny szatyn, miał duże niebieskie oczy, nos orli i wzrost średni. Lekkie wąsiki, zakręcone z fantazją, uśmiech wesoły na ustach, otwartość i swoboda rozlana na całej twarzy, mówiłyby zdaje się o młodej, rzeskiej duszy młodzieńca, gdyby nie pewne szyderskie, pogardliwe skrzywienie ust. Mógł on liczyć dwadzieścia cztery do dwudziestu pięciu lat. Ubrany w ciemną kurtkę, z elegancją i prostotą, przechadzał się po pokoju i od czasu do czasu rzucał namiętne, ogniste spojrzenia na leżącą na fotelu Zarembinę. Usta jego wtedy trochę zmysłowo zarysowane, przybierały kolor krwi, a twarz pokrywała się lekkim rumieńcem.

Włosy dotąd pięknie i gładko przyczesane, zburzył sobie na głowie i ukazał wysokie, gładkie i białe czoło. Niekiedy zatrzymywał się i patrzał jak spokojne blaski lampy i ognia kominkowego ślizgają się po białej szyi i po wydatnym biuście leżącej, jak całują jej śnieżną pończoszkę i małe nóżki.

Wówczas odwracał się i wzdychał lub stając wpatrywał się w trzecią osobę, znajdującą się w tym pokoju i wcale nie uważającą na tajemny dramat, rozgrywający się między młodzieńcem i Zarembiną.

Trzecia ta osoba siedziała za stołem, nie młoda już, gładko zaczesana blondynka, ubrana skromnie, ciemno, w wygodny atłasowy, watowany kaftan, zakonserwowana dobrze, z resztkami dawnej piękności na pomarszczonej już nieco twarzy i trzymając w prawej ręce lornetkę oprawną w szyldkret, czytała z wielką uwagą „Nekrologję" w *Kurjerku*. Obok niej leżała rozpoczęta pończocha i od drutów przecinających się w rozmaitych kierunkach padały wąskie cienie na jej ręce jeszcze białe, pulchne i małe. Siedziała wyprostowana na krześle, skromna, obojętna na to co się koło niej działo, zaczytana w *Kurjerze*.

W sali była cisza. Słychać było tylko jednostajny, przyciszony trochę stuk zegara, trzask ognia w kominku i głębokie westchnienia mężczyzny.

— Czego Julek tak sentymentalnie wzdycha? — zapytała nagle pani domu, przykrywając usta *Figarem* i spoglądając z po za tej zasłony zalotnie i wabiąco.

— Bratowa wiesz dobrze, czego wzdycham — odrzekł młodzieniec.

— Wcale nie wiem. Może ty Karolinko wiesz? — zwróciła się do zaczytanej w *Kurjerze*.

— Nie wiem, a zkądżebym ja wiedziała? — odpowiedziała tonem uroczysto-wypierającym się i znów zagłębiła się w nekrologję.

Młodzieniec zwany Julkiem obszedł tymczasem stół i stanął wprost Zarembiny.

— Wzdycham bom smutny i nieszczęśliwy. Nic mi się nie wiedzie na świecie. Gram w karty, przegrywam, kocham się, nie jestem kochany. Gdybym w masło włożył palec, z pewnością bym go złamał.

— Cóż za czarna, dramatyczna rozpacz! — zaśmiała się srebrnym śmiechem Zarembina, a widząc, że Julek namiętnym wzrokiem obrzuca jej nogi, przykryła je skromnie suknią i dodała:

— Mój Boże, masz młodość, jesteś przystojny, rozumny, wykształcony i czegoż ty chcesz więcej?

— Pieniędzy nie mam.

— To jest dość przykre, ale pieniądz to rzecz do nabycia....

— Zapewne, tylko do tego trzeba mieć podobnie jak do wszystkiego na świecie szczęście, a ja go nie mam. Kocham się naprzykład na zabój, a nie jestem kochany...

Spojrzał ognieście w oczy lazurowe Zarembiny, ciągle gazetą zakrywającej usta, pochylił się, wziął ją za rękę i szepnął:

— Jeden pocałunek bratowo...

Spojrzała na Karolinkę, zajętą wciąż *Kurjerem*, i pozwalając się całować po rękach, odrzekła cicho:

— Dajże pokój, Julku, Zygmunt może wejść lada chwila...

Na te słowa podniósł się, przetarł czoło, westchnął głęboko i zawołał tonem tragika ze sceny:

— Jestem najnieszczęśliwszym z ludzi!

Na ten okrzyk jego zwróciła uwagę Karolina. Podniosła oczy od *Kurjerka*, spojrzała ciekawie na młodzieńca i rzekła swym słodziutkim głosem:

— Może pan głodny, panie Juljanie, obiad zaraz będzie, tylko pan Zaremba wróci.

Słowa te, stanowiące zabawny kontrast z dramatycznym wykrzyknikiem Julka, wywołały głośny i szczery śmiech w Zarembinie, a w młodzieńcu oburzenie.

— Co też pani mówi! — zawołał.

W tejże chwili drzwi się otworzyły i wszedł Zaremba, obrzucając swym melancholijnym wzrokiem cały pokój i osoby w nim znajdujące się. Ujrzawszy wesołą, jasno oświetloną, a nadewszystko ciepłą i cichą salę, rozbrzmiewającą w tej chwili srebrnym śmiechem żony, rozpromienił twarz. Podszedł do żony i pocałował ją w rękę.

— Dobry wieczór, Luciu! — rzekł i podał rękę pannie Karolinie, która podniosła się nieco i dygnęła po staroświecku trochę.

— Jak się masz, Julku? — odwrócił się do brata Zaremba — nie widziałem cię dziś weale.

— Wyszedłeś dziś wcześnie! — mruknął Julek.

— Zyziu! — zawołała pani domu — tak długo każesz czekać na siebie z obiadem. Julek dostał już z głodu czarnej melancholji.

I poczęła się znów głośno, serdecznie śmiać. Julek oblał się krwią, popatrzył na bratowę i westchnął. Tymczasem Zaremba tłómaczył się:

— Przepraszam cię, Luciu, ale robiliśmy z Milerem bilans całoroczny. Niech podają obiad. Istotnie i mnie się jeść chce.

Przysunął sobie krzesło do stołu, spojrzał po obecnych i dodał:

— Mam dla was nowinę.

— Wesołą czy smutną? — spytała Zarembina, nie spuszczająca ani na chwilę z oczów brata mężoskiego.

— Obojętną — odrzekł Zaremba. — Stary Miler sprowadza do siebie jakąś swoją kuzynkę, dziewczynę podobno cudownej piękności, której prawdopodobnie zapisze cały majątek. Zwracam na to twoją uwagę, Julku.

— Dajże mi pokój, mój Zygmuncie! — odburknął dość niegrzecznie zainterpelowany.

— Widocznie głodny! — szydziła pani domu, otulając się w swój ponsowy szal i strzelając oczami na młodzieńca.

Zaremba tymczasem opowiadał o zyskach jakie mieli z Milerem w tym roku ze sklepu.

— Ale, ale — zawołał w końcu — byłbym zapomniał. W sobotę urodziny Milera, musimy iść do nich na wieczór.

Pani skrzywiła się, panna Karolina ruszyła ramionami. Julek pogardliwie się uśmiechnął.

— Dużobym dała — rzekła nakoniec Zarembina — gdyby można uniknąć tej wizyty.

— A! moja Luciu, uprzedzenia! uprzedzenia! Miler jest bardzo zacnym człowiekiem, mamy nakoniec względem niego pewne zobowiązania.

— Ale mój Zygmuncie — zawołał Julek — jakież tam okropne zbiera się towarzystwo! Ten zatabaczony Miler... ci Niemcy... ta Joanna...

— Ach! ta Joanna, ta Joanna! — przerwała pani domu — ta kobieta robi na mnie wrażenie maszyny do gotowania obiadów, sprzątania i cerowania.

— A przytem zawsze się wyśmiewa z naszej religji! — szepnęła z wyrazem głębokiego oburzenia Karolinka.

— Moi państwo — odrzekł na to Zaremba — nikt nie jest bez wad i śmieszności. Ale przy tem wszystkiem trzeba żyć z ludźmi, zwłaszcza gdy się jest w takim stosunku z Milerem jak ja. Oznajmiam więc, że wszyscy jak tu jesteśmy, pójdziemy w sobotę do Milerów... (C. d. n.)

PIOSENKA.

Ty się do mnie nie śmiej dziewcze
Oczyma modremi,
Bo mi serce w piersiach płacze,
Kiedy spojrzysz niemi.

* * *

Ty się do mnie nie śmiej, proszę —
Ustami z kaliny,
Bo mi w smutku dusza pęka,
Choć nie z twojej winy.

* * *

Inna miała takie usta,
Takie same oczy,
I jak wąż ugryzła w serce,
Że do dziś krwią broczy.

* * *

I tę inną, jak zaklęty
We śnie i na jawie
Ciągle widzę, ciągle słyszę,
Klnę i błogosławię.

Kwiat szczęścia.

(Ciąg dalszy.)

— Sądziłam, że pan kochasz Andzię i że rozstanie się z nią nie przyjdzie panu tak łatwo — wyrzekła pani Ewelina po chwili.

— Widzę, że ustąpienie moje jest pożądanem, dla tego nie namyślałem się długo — odparł Henryk.

— Dobrego zdrowia życzę! — odezwał się głęboki basowy głos tuż obok rozmawiających.

Henryk zwrócił się szybko w stronę mówiącego, a pani Ewelina nie bez zajęcia przyglądała się postaci, która niespodzianie wychyliła się z za drzew i w bezpośredniej jej bliskości stanęła.

— To wy, Ambroży? — przywitał Henryk człowieka więcej jak średniego wzrostu, silnie zbudowanego, który mimo widocznych śladów starości, trzymał się prosto. Na twarzy pooranej zmarszczkami, okolonej długim siwym włosem, zaznaczyły się silnie przebyte burzliwe koleje życia, oczy połyskiwały młodzieńczym prawie ogniem i nadawały ostrym rysom wyraz niezwykłej energji. Ubrany był w zwykły ubiór

wieśniaczy, ale z pewną starannością, a w całej postaci uzbrojonej w długi kij alpejski, przebijała pewność siebie i rodzaj wyzywającej śmiałości.

Skłoniwszy się pani Rehfeld z uszanowaniem, podał rękę Henrykowi i powiedział:

— Szedłem do pałacu, donieść panu, że nic z naszej jutrzejszej wycieczki na Lodowy szczyt: droga jeszcze niepewna i niedostępna.

— Myślałem że tak będzie po tylu deszczowych dniach — a zwróciwszy się do pani Eweliny, dodał: — Przedstawiam pani Ambrożego, o którym tyle razy wspominałem. On to zapoznał mnie z legendami tutejszych gór i od niego dostałem znany pani wiersz o kwiatku szczęścia. Nie widziałem wprawdzie żadnego z mnóstwa gnomów i koboldów, o których Ambroży tak żywo mi opowiadał, a którzy podobno dokazują w górach, ale mam nadzieję, że wkrótce zapoznam się z jakim jegomością w trójrogu na malutkich nóżkach i z brodą po same kolana.

— Śmiej się pan! a przecież są, nie ma co wątpić.

— A widzieliście kiedy takiego ducha gór? — zapytała pani Ewelina, patrząc z zajęciem na tę charakterystyczną postać.

— Tego nie powiem, ale po co to widzieć? dość że człowiek czuje. I pan Henryk poczuje nie dziś to jutro a może i zobaczy, bo kto takiemi oczyma spogląda w świat Boży, ten widzi więcej od innych. Zauważałem ja to od pierwszego poznania się naszego.

— Dziękuję wam, Ambroży! przynajmniej jeden człowiek się znalazł, który trochę lepiej o mnie myśli i nie ma mnie za nicponia. Ambroży zaszczyca mnie swoją przyjaźnią, a to nie lada zaszczyt, ponieważ jest niedostępnym prawie — dodał Henryk, zwróciwszy się do pani Rehfeld.

Ewelina, która nie bez zajęcia uważała, że dziki ten mieszkaniec gór z dziwną przychylnością wpatruje się w Henryka i mówiąc o nim, łagodzi szorstki głos, udała że nie słyszy przymówki przyszłego swego zięcia i najobojętniej wypytywała Ambrożego o sposób życia, mieszkania i tym podobnie.

— Mieszkam wysoko, wyżej od wszystkich i to mi na rękę, bo nie potrzebuję stykać się z ludźmi, oprócz starej gospodyni, która prowadzi małe moje gospodarstwo i chłopaka pasącego kozy — odpowiedział Ambroży na liczne zapytania.

— W lecie pojmuję, ale w zimie, gdy śniegi zasypią drogi i ścieżki, jesteście jak w grobie. Straszno tam być musi. Wreszcie niebezpieczeństwo od lawin. Moglibyście wszyscy zginąć bez ludzkiej pomocy. — Nagle urwała pani Rehfeld pod magnetycznem spojrzeniem dziko połyskujących oczu Ambrożego. Mimowoli dreszcz ją przebiegł i błagalnie podniosła wzrok na Henryka, jakby tam szukała obrony przed grożącem niebezpieczeństwem.

Ambroży stał jednak spokojnie, dopiero na wzmiankę o grobie pośród śniegów drgnął konwulsyjnie i oczy nabiegły mu krwią. Szybko odwrócił się do Henryka i groźnie tylko odrzucił:

— Zginąć wszyscy musimy, tak czy siak, nikogo to nie minie!... Dopiero za dwa lub trzy dni będziemy mogli pójść na lodowce! — dodał innym już głosem.

Henrykowi przyszła na myśl dzisiejsza rozmowa z Kundzią, zapytał więc:

— Ale czy dobrze znacie drogę? Ma być uciążliwą i niebezpieczną, zwłaszcza po nad parowy przy schronisku.

Ambroży uderzył kijem w ziemię, że aż zarył się całem żelazcem i wydał dziki okrzyk, opamiętał się jednak natychmiast i odezwał ironicznie:

— Jeżeli się pan obawia, to szkoda zachodu.... Myślałem, że jesteście nie takim jak inni, ale wszyscy z miasta podobni do siebie. Jak wam się podoba! mnie wszystko jedno i nie narzucam się nikomu. Zostańcie z Bogiem!

Z temi słowy odwrócił się Ambroży zuchwale i nie spojrzawszy już na Henryka, poszedł ku górom.

— Z Bogiem, stary! — krzyknął Henryk za odchodzącym. — Pogadamy jutro a pojutrze pójdziemy na lodowce.

— Dziwny człowiek! — odezwała się Ewelina. — A jaki straszny! jak na mnie spojrzał, ubezwładnił mnie siłą tego spojrzenia. Za nic w świecie nie odważyłabym się zostać w towarzystwie z nim samym ani na jedną sekundę.

— Jest dziwakiem i nic więcej, ale ludzie tego rodzaju są zazwyczaj maniakami. Pośród gór i skał, z któremi się zrósł, stał się nieczułym na wszystko co go otacza, to też trudno od niego żądać uprzejmości i trzeba brać takim jak jest.

Ewelina nie zdawała się podzielać wypowiedzianego zdania, ale nie odpowiedziała i znów nastąpiła pauza, którą trzeba było zażegnać i zakończyć przykrą rozmowę, przerwaną zjawieniem się Ambrożego.

Henryk zdjął kapelusz i udał że go zajmuje wiązanka przyczepionych kwiatów, które zebrał w czasie popołudniowej wycieczki. Ewelina z całą uwagą wpatrywała się w krajobraz, cudnie oświetlony odblaskiem ostatnich promieni zachodzącego słońca.

Willa Rehfeld leżała za małym pagórkiem i opierała się o wysokopienny gęsty las szpilkowy. Pomiędzy parkiem i zabudowaniami połyskiwały wody małego stawu, w których wyraźnie odbił się błękit nieba i sierp wschodzącego księżyca.

W tym roku zawitała wiosna później jak zwykle w górach alpejskich, a w ostatnim dniu maja poczęły dopiero rozkwitać pęcze drzew. Pierwiosnki ubarwiały łąki okryte pierwszą, jasno przejrzystą trawą, która za nastaniem cieplejszych dni ciemnieje i pewniejszą przybiera barwę.

Zajęty porządkowaniem swego bukietu, spoglądał Henryk ukradkiem na opartą o pień drzewa Ewelinę, która całą duszą oddała się zachwytowi uroczego widoku.

Bujne sploty ciemnych włosów, które się wykradły z pod lekkiej osłony, zarzuconej na tył głowy, spadały na twarz i podnosiły przejrzystą jej bladość, na oczach spoczął wyraz głębokiej zadumy, która myślą goni w dalekie a nieznane przestrzenie.

Nad głową unosiły się gałęzie jabłonki obrzuconej obfitem białem kwieciem, która uchylała konary przed majestatem tej klasycznie pięknie zarysowanej postaci. Ewelina odwróciła się pod magnetycznem działaniem wzroku Henryka i ujrzała bukiet, który młody Kroneg napowrót przypinał do kapelusza.

— Jakiż to śliczny kwiatek — zauważyła pani Rehfeld. — Nie widziałam dotąd nic podobnego.

— I ja nie widziałem, a znam prawie dokładnie florę całych Alp — odpowiedział Henryk, zwracając się do Eweliny, poczem wyjął z bukietu rzadki ten kwiat, który zwrócił jej uwagę i podając go, dodał: — Może pani raczy przyjąć tę zdobycz mojej dzisiejszej wycieczki: ma przynajmniej tę wartość, że zerwany z narażeniem życia.

W wyrazach wypowiedzianych miękkim i łagodnym głosem, przebijała nieśmiała prośba.

Ze zdziwieniem spoglądała Ewelina na mówiącego, u którego ten objaw był dla niej czemś nowem i nieznanem, to znowu wabił ją rzadki kwiatek o oryginalnym doborze kolorów i niezwykłym kształcie.

Na cienkiej gałązce wisiało kilka kwiatów o ciemno-niebieskiej barwie gencjany, z pośrodka dobywał się kielich jasno-purpurowy z błyszczącą wewnątrz złotawą koroną kilkunastu nitek pyłkowych. Zapach, który z siebie wydzielał, podobny był do wiosennej woni kwitnących łąk — miał w sobie coś odurzającego.

Ewelina zawahała się chwilę, czy wypada jej po ostatniej rozmowie przyjąć ofiarowany sobie kwiatek, ale sposób w jaki jej został podany i rzadkość przedmiotu przezwyciężyły to wahanie.

Wziąwszy kwiatek do ręki, przypatrywała mu się z zajęciem i podziwiała jego piękność, a zwróciwszy się do Henryka, zapytała:

— Mówiłeś pan, że kwiat ten zdobyty z niebezpieczeństwem życia. Czy tak trudno było go zerwać?

— Wystrzelił nad nieprzystępną rozpadliną, na samej górze stromego parowu, przez który bystry strumień górski z szalonym pędem toczył swe wody, niosąc odłamy skał i różne kamienie. Jak dzika koza wspinałem się po pionowej ścianie, chwytając się rękami za wystające odłamy, lub rzadko rozrzucone krzaki kosodrzewiny i dostałem się na górę, ale kwiat był z tamtej strony rozpadliny, za szerokiej, żeby ją przeskoczyć. Na szczęście spostrzegłem karłowatą sosnę, przechyloną ku tamtej stronie. Lewą ręką uchwyciłem się gałęzi drzewa, zwieszającego nad przepaścią, a wyciągnąwszy prawą, zerwałem ponętną piękność flory alpejskiej. Powiedziałem sobie, że muszę go posiąść i zerwałem szczęśliwie.

— I to wszystko dla jednego kwiatka? — wyrzekła pani Rehfeld nie bez uczucia przestrachu. — Dziwny upór, który się mógł zakończyć katastrofą.

— To także cel jak każdy inny. Nie wiem czy zdołam opisać wrażenie, jakiego doznałem, wisząc tak połową ciała nad bezdenną przepaścią. Dokoła nagie sterczące skały, na głową jasne niebo w pełni słonecznego blasku, a tam na dole nieprzejrzana okiem ciemność. Chwila zawrotu głowy, albo najlżejszy przestrach i wszystko byłoby skończone. Z dala dolatywał głuchy odgłos wzburzonych fal rwącego potoku, a z przeciwnego brzegu przepaści wabił ku sobie ten czarowny kwiat, jak owa świtezianka, która młodzieńca pociąga dziwnym czarem i gubi w nurtach niezmierzonej głębiny. Jestem pewny, że spadając w otchłań nie byłbym puścił z rąk tego kwiatka. Ważyć życie, ma czasami swój urok.

Henryk mówił z niezwykłem uniesieniem i namiętnie, nic zatem dziwnego, że Ewelina, która go nigdy jeszcze nie widziała w podobnym nastroju, słuchała tej żywej opowieści z zajęciem i wpatrywała się z niedowierzaniem w ożywioną twarz kuzynka.

— Nie znałam pana z tej strony! sądziłam, że prócz sarkazmu i zobojętnienia na wszystko co go otacza, żadna iskierka silniejszych porywów i uniesień nie kryje się w tej piersi.

Silny rumieniec wystąpił na twarz Henryka i jak gdyby dał się złapać na jakiejś słabostce, odparł co żywo w zwykłym, drwiącym tonie:

— To tylko przelotne uczucie i nic więcej. Do głębszych, silniejszych wrażeń zdolna tylko dusza Gwidona i nie odważyłbym się nawet w tej mierze wdzierać w jego atrybucje, chociażby dla tego, że naraziłbym się na ponowną lekcję ze strony pani.

— Przedtem mówiła matka, troskliwa o dziecię powierzone jej pieczy — tłómaczyła się Ewelina.

— Matka? — zapytał Henryk, ale ten jeden wyraz trudno mu przechodził przez usta.

— Nie inaczej. Jeżeli pomiędzy mną i Andzią nie wielka różnica wieku zachodzi, tak, iż moglibyśmy sobie być siostrami, to doświadczeniem jestem od niej znacznie starszą, pojmiesz pan zatem, że mam obowiązek myśleć za siebie i za nią i troszczyć się o jej przyszłość.

— Od tej troski chciałem panią uwolnić i...

— I dla dogodzenia chwilowemu uporowi wyrzec nierozważne słowo, któregobyś potem żałował. Złą przysługę oddałabym wam obojgu, przyjmując pańskie zrzeczenie się. Andzia przylgnęła do pana całem sercem... ale ty, panie Henryku? Czy na serjo chciałeś mi zwrócić dane słowo? Wierzaj mi, że wtenczas wszystko pomiędzy nami byłoby się skończyło!

Henryk zamilkł, spuściwszy oczy na dół. Wczoraj jeszcze spierał się z ojcem o pospiech z jakim go naglił w to jarzmo małżeńskie, teraz potrzebował wyrzec jedno tylko słowo, aby być wolnym. Dlaczegoż brakło mu odwagi do wypowiedzenia: „tak!“? Podniósł oczy i utkwił je w twarzy Eweliny, a w duszy powtarzał ostatnie wyrazy przed chwilą przez nią wypowiedziane: „Wszystko pomiędzy nami byłoby się skończyło.“ Opamiętał się nareszcie i wyrzekł nieśmiało:

— Zdawało mi się, że moje wycofanie byłoby pożądane.

— W takim razie mylnie pan sobie tłómaczysz moje słowa. Chciałam pana lekko upomnieć, ostrzedz, a tego prawa, jak sądzę, nie zechcesz mi odmówić? Andzia jest jeszcze bardzo młodą i nie miałam zamiaru już teraz wiązać ją zaręczynami, ale pragnęłam poznać bliżej człowieka, który moją małą ma poprowadzić przez życie, a dopiero z przyszłą wiosną... bo dłużej niemasz dla mnie pobytu na ziemi...

— Zaprzestań pani! te chorobliwe objawy dziwnej jakiejś fantazji wyprowadzają mnie z równowagi, a pani szkodzą najwięcej. Jak można wmawiać w siebie tak uporczywie widmo śmierci, które Bogu dzięki, oddalone od pani daleko! — przerwał Henryk gwałtownie.

— Dziękuję ci, panie Henryku, ale ani ty, ani wszyscy życzliwi, którzy mnie i siebie łudzicie widokami powstrzymania gasnącego życia, nic tu nie pomożecie. Stanie się co się ma stać. Były chwile gdzie wmawiałam w siebie, że może w istocie jest jaka nadzieja... dzisiejsza próba potwierdziła niestety, że nie wiele mi już dni zostało. Jestem bezsilna i cudem prawie dostałam się w to miejsce, wypoczywając co kilkanaście kroków.

— Ktoż to orzekł, że stan pani jest bez nadziei? Lekarze?

— Lekarze ruszają ramionami i pocieszają nadzieją wiosny, bądź łagodnym klimatem południowym..... wiem co to znaczy. Nie umiera się łatwo w moim wieku, gdzie młodość się uśmiecha i wabi nadzieja przyszłości. Walczyłam długo z grozą mego położenia, dzisiaj jestem spokojną i uginam kornie czoło przed nieuniknioną koniecznością. (C. d. n.)

Potęga prawdy.

(Ciąg dalszy).

Komu by jednak oddech zaparło, wśród wyziewów z wapna, pary z balji i innych woni ostrych a niemiłych, między tylorgiem dzieci, potrzebował tylko potrudzić się na piąterko, po schodach stromych i wąskich, ale czysto umytych i pobielonych.

U wdowy po sędzi powiatowym, pani Walther, która tutaj ze swoją córką mieszkała, powietrze było zawsze świeże i balsamiczne. Na oknach były całe skrzynie rezedy, lewkonji, heljotropu, samych wonnych kwiatów. Przez otwarte okna wietrzyk poruszał lekko białemi jak śnieg firankami, tak misternie zasnutemi w tysiącznych miejscach, że każdy byłby przysiągł, iż wyszły prosto z magazynu.

Sędzia Walther umarł w latach przeszło sześćdziesięciu, a odtąd mała, skrzętna kobiecina powiększyła grono wdów po urzędnikach, żyjących cichutko i pracowicie w jakimś zakątku, o których świat i dawni znajomi całkowicie zapominają. Pani Walther należała jednak do rzędu tych niewiast, które mimo ubóstwa, zachowują całą godność, pamiętając co winne sobie i męża nieboszczyka imieniu bez skazy.

Dwa duże koki po nad czołem, na podkładce z włosienia wyczesane i cały strój zresztą, świadczyły, że sędzina trzyma się mody z przed laty trzydziestu kilku. Spotyka się czasem kobiety, tak wierne wspomnieniom z dni szczęśliwych, w których żyły i były kochane, że nawet włosy tak samo układają i kroju sukien zmienić nie chcą. Te zresztą dwa skrzydełka z włosów niegdyś kruczych, a dziś mocno siwizną przypruszonych, otaczały twarz pomarszczoną, ale miłą, sympatyczną i wiecznie ożywioną uśmiechem dobrodusznym. Pani Walther wystarczała najzupełniej niewielka pensyjka i trosk żadnych nie zaznała.

Była niesłychanie pilną i pracowitą, a tak mało potrzebowała. Wszystko co jej niegdyś mąż za lepszych czasów ofiarował, wyglądało jak z igły. Garnitur tumakowy, szal francuski na cztery strony składany, płaszcz czarny sukienny, nawet bronzowy parasolik *en tout cas* z dobrej materji jedwabnej. Sama jadła jak ptaszek, a i co do Marty, zastosowywała maksymę: „Iż najwięcej dzieci choruje z przeładowania żołądka.“

Marta jednak, mimo ścisłej dyety, wyrosła pięknie jak topolka i zakwitła taką krasą dziewiczą, iż serce matki nie posiadało się z dumy i radości, gdy wzrok jej z czułością niewymowną spoczął na ukochanej jedynaczce.

Była to postać pełna wdzięku i siły fizycznej, twarzyczka czerstwa i zdrowiem tryskająca, którą teraz Marta pochyliła nad rysunkiem, na stole przed nią rozłożonym.

— Deseń na piękne i bogate nakrycie stołu — przemówiła po chwili — jest cudowny, piękniejszy niż wszystko inne, co Maks dotychczas rysował. — Potem westchnąwszy nieznacznie, dodała tonem czulszym, z uśmiechem raczej smętnym niż radosnym: — Natchnienie do tego rysunku czerpał poniekąd w naszym kąciku ulubionym, na łączce, pod olchą, nad strumy-

kiem wartko pomykającym po kamyczkach. Pod olchą leży ów kamień omszały, pod który oboje listy nasze składamy. Czyżyk na gałązce uwieszony nieraz nam nad głowami wesoło świegotał, gdyśmy tam usiedli na chwilę. Liście, które stanowią brzeg nakrycia, sama rwałam dla niego z drzewa. Proszę tylko spojrzeć! Nie znajdzie dwóch równych zupełnie, a jaką całość stanowią, pełną linij klasycznej piękności. Poszlę ten deseń na wystawę rękodzielniczą do Berlina, a nakrycie wyhaftuję atłasem wypukłym. Muszę raniej wstawać przez jaki tydzień, to wszystko będzie wkrótce gotowe.

— A wtedy naznaczysz tuzin ręczników, które ci kupiłam do wyprawy — wtrąciła matka mimochodem. — Wczoraj ostatni obrębiłam. Rozkosz patrzeć na taki wyrób. Płótno jak skóra.

Brwi Marty, ciemne i dość szerokie, ściągnęły się nad czołem i głęboka bruzda na niem się zarysowała.

- Eh! na to czas wielki! — machnęła ręką niechętnie.

— Ależ prawie wszystko gotowe — zaprotestowała matka, porządkując to i owo, aby w dzień czasu nie tracić na takie drobnostki.

Gdy matka zmiatała strzępki wokoło maszyny, otrzepywała z kurzu fotografje na i nad biórkiem, poprawiała poduszki na kanapie, Marta w smutnej zadumie zwinęła rysunek i odezwała się, potrząsając głową:

— Żeby to się li o gotową bieliznę rozchodziło!

Matka mrugnęła znacząco oczami.

— Mam ja tam coś odłożonego: „Na złą godzinę", jak to twoja babka mawiała... Sumka wcale pokaźna, choć się ją z grosików składało, często gęsto od ust odejmując.

Spojrzała czule na biórko starożytne, gdzie z dziecinną niemal naiwnością trzymała w skrytce skarbonkę z pieniądzmi mozolnie uciułanemi.

— Mebli wcale na początek kupować nie potrzebujecie.... Dam ci całe urządzenie z salonika.... Pst! ani słowa!... tak chcę i tak będzie! Aksamit na meblach jak nowy! Nie darmo tak trzepałam i okrywałam! Kanapa, cztery fotele, sześć krzeseł... szafka ze zwierciadłem, świecznik kryształowy, dwa kandelabry, biurko orzechowe ojca i piękny zegar bronzowy... Sreberko jest, porcelana i kryształ na dwanaście osób nietknięte: to i czegoż wam jeszcze braknie na początek? Mnie zupełnie wystarczą te tutaj mebelki. Ten stół kazał mój ojciec zrobić z desek jasionowych, kiedy nam w ogrodzie na probostwie (wiesz że twój dziad był pastorem) piorun zwalił drzewo najokazalsze. Dla mnie pamiątka nieoceniona.

I pogłaskała stół dłonią, niby twarz osoby ukochanej, z okiem wilgotnem.

— Najlepsza, najdroższa matko! — rozrzewniona do łez Marta przycisnęła do ust rękę zacnej matrony. — Wiem, żeś gotowa do ofiar wszelkich — pierś jej podniosła się ciężkiem westchnieniem. — Kiedyż to nam wszystko pomódz nie może!

— Cóż znowu! — zgromiła ją matka. — Maks ma zostać nadporucznikiem... No! bardzo hulać nie będzie o czem.... ale czyż to jedno młode stadło zaczynało od małego i jakoś się przez świat przebiło. Przecież ojciec jego wam dopomoże, byle raz syn się z nim na serjo rozgadał i oświadczył z chęcią szczerą ożenienia się z tobą. Radcostwo Althaus żyją po pańsku, całą gębą. Tam jest z czego oszczędzać.

Marta znowu głową potrząsła przecząco:

— Maks mnie pod tym względem nie oszukuje. Utrzymuje stanowczo, że od rodziców na żadną pomoc liczyć nie może. Zaledwie im samym dochód roczny na życie starczy.

Sędzina uśmiechnęła się filuternie.

— Eh! tak to się mówi umyślnie przed synkiem, aby panicz długów nie robił i nadto często do kasy tatka nie zaglądał, żeby się nauczył szanować pieniądz. Tak samo czynił z braćmi mój ojciec. A jednak każdemu z dzieci zostawił po trzy tysiące talarków.

Marta żałośnie spojrzała na matkę.

— Mama aniby sobie wyobrazić mogła, co przy dzisiejszych wymaganiach kosztuje dom, jako tako urządzony. Przypatruję się temu, pracując w nowomodnym magazynie państwa Wissmanów i Maks mi opowiada nieraz o życiu rodziców szczegółowo. Choćbyśmy się niewiedzieć jak oszczędzali, niżej pięciu tysięcy marek rocznego dochodu, wyżyćbyśmy nie potrafili.

Matka zaśmiała się wesoło, mieląc kawę na jutro, najskrupulatniej odważoną, do której dołożyła grudkę cykorji. Na stoliku leżało ośm fenigów na rano dla mleczarki.

— Tylko bez przesady! — poklepała Martę po ramieniu. — Masz na myśli owe żony oficerów, żyjące w zbytkach, spuszczone z całym domem na kucharki, trzymające oprócz tego pokojówki do balji i żelazka, a suknie biorące wprost od Gersona. O, takim rozrzutnicom pokażesz i nauczysz je, ile żona może i powinna mężowi zaoszczędzić — mlasnęła głośno językiem na potwierdzenie, jak to świat się zadziwi nad Marty skrzętnością i talentami gospodarskiemi. — O! suknie naprzykład! Sama skroisz, sama uszyjesz... co cię będą kosztowały? prawie nic.

— Zapewne... niech mama atoli raczy zważyć, że taka kaszmirowa czarna sukienka, przenicowana i odświeżona, która mi służy od święta, ledwieby na codzień wystarczyła pani Althaus... pokojówce! I to nie wiem czyby jej radczyni nie zgromiła, że śmie tak przed nią wystąpić.

Sędzina osłupiała. Czoło w górę sfałdowała, niby kurtynę, jakby chciała tym sposobem rozjaśnić ciemności i wątpliwości, umysł zalegające.

— Jeżeli tam się takie piekielne prowadzi gospodarstwo, taki ład w domu panuje! — gniewnie wybuchnęła — nie dziwota, że ani grosza nie odłożyli!..... Nie bierz mi za złe.... ale taka rozrzutność, głupstwem wierutnem, grzechem o pomstę do nieba wołającym!... Ale tak tam szło wiecznie! Sam radca wcale się nie nadymał i nie pluł w sufit... tylko żona! Pamiętam, kiedyśmy to razem z nimi mieszkali, oni w beletażu, my na trzeciem piętrze, już u niej w głowie było do góry nogami wszystko wywrócone..... Strach! jakie to tam państwo było, a dochody wcale wówczas z takim zbytkiem nie licowały. Hela ziemi nie dotykała. Malec ubierał się wciąż w atłasy, aksamity i koronki. Maks także nosił na codzień białe jak śnieg pończoszki i lakierowane buciki ze sztylpami! Przypominasz sobie, jak ci malował niby posadzkę taflową w salonie dla lalek i jak ci wyplótł był z łoziny kołyskę dla dziecka w powiciu, które dostałaś na choince? Boże drogi! jak ten czas leci! Później... nie wiem dla czego właściwie, ustały wszelkie stosunki z tą rodziną. Twój ojciec umarł, a myśmy się na tańsze przedmieście wyprowadziły. Althaus został starszym radcą i zamieszkał w śródmieściu, w pysznym pałacu. Żoneczka wyrzuca dalej drzwiami i oknami drogie pieniądze, któreby wam starczyć mogły na porządne utrzymanie. Skoro tak, musicie czekać biedne dzieciaki, póki Maks nie zostanie kapitanem. Kaducznie długie narzeczeństwo! Zdaje mi się, że ci się oświadczył jeszcze, kiedyście się razem na pensji tańczyć uczyli..... a teraz już ci zaszło na rok dwudziesty i czwarty... Hm! hm! Nie wolno ci jednak wątpić i rozpaczać! Poczciwe z was dzieci, toć prędzej czy później Bóg wam dopomoże.

— Każdy jednak — Marta wtrąciła — powinien sam dróg szukać, aby jak najrychlej trafić do celu. Mnie bo się wiecznie zdaje, że błądzimy w ciemnościach, żeśmy weszli oboje na bezdroża. Nieraz bierze i mnie chęć zawołać: — „Stój, ani kroku dalej!“ — brak mi jednak do tego odwagi, chociaż dotąd wyjścia nie widzę z tego koła zaklętego... Nic bo tak nie idzie, jakby iść powinno... Do czego podobne te nasze zaręczyny, trzymane dotąd w tajemnicy? — oczy jej, barwy nieokreślonej, mieniącej się niby fale morskie, gniewnie błysnęły, policzki zaś pokryły się ciemnym wstydu rumieńcem. — Ludzie w domu zaczynają na mnie krzywo patrzeć... koledzy zaś Maksa uśmiechają się dwuznacznie, jeżeli nas kiedy razem zobaczą na ulicy.

Matka lampę zgasiwszy, poszła naprzód z cienką świeczką zapaloną w nocnym lichtarzyku, do pokoju obok, gdzie spała razem z córką. Zakładając nocny czepek, i rozbierając się do łóżka, narzekała na ludzi złośliwość i plotkarstwo.

— Co ci mogą zarzucić? — mruczała gniewnie. — Zwyczajnie zazdrość, niechęć, żeś wszędzie i zawsze prym trzymała, żeś, jak to mówią, do tańca i różańca, do łoju i stroju! Skazki, plamki na tobie nie ma! Już ja jutro, tym tu paplom domowym, natrę uszów, że aż im w pięty pójdzie!

— Tego niech mama nie czyni, na miły Bóg! — Marta wykrzyknęła, na noc warkocze zczesując, sięgające po za kolana, ciemne, w zagięciach tylko mieniące się złotawo. — Sama nieraz badam własne sumienie, czy nie powinnabym zerwać z Maksem stanowczo.

Matka tymczasem utonęła w puchowej pościeli, przymykając powieki nabrzmiałe i utrudzone szyciem całodziennem.

— Co też ci dzisiaj wieczór strzeliło do głowy? — spytała niecierpliwie, szeroko ziewając. — Bogu byś podziękowała, że cię darzy mężem poczciwym i dobrym. Tacy teraz, to rzadkość! nie tak jak za moich czasów... A przecież każdej dziewczyny przeznaczeniem, wyjść za mąż.

— Nie mogę też przenieść na sobie — Marta westchnęła — jakkolwiek mi w czem innem nie brak woli silnej i energji w wykonaniu tego co raz postanowię... nie zdolnam Maksowi powiedzieć, że musimy się rozłączyć.

— Dajże sobie z tem spokój! — matka perswadowała.

— Może właśnie dla tego, kocham go z duszy całej — Marta ciszej kończyła, — że on tak miękki... tak słaby...

Nie odebrała na to odpowiedzi. Matka usnęła snem błogosławionych, razem z swojem sercem gołębiem, ofiarnością bezgraniczną, dziecinną nieświadomością stosunków światowych i ślepą wiarą w pomoc Opatrzności.

Marta długo w noc zasnąć nie mogła, przemyśliwając, co to jeszcze z tego wszystkiego wyniknie.

W głowie jej huczało, jakby w samym mózgu siedziała kukułka zegara starożytnego, wyskakująca z trzaskiem co kwadrans po nad tarczę, godziny wskazującą. Myśli ciężkie, ponure rozsadzały przez noc całą małą jej główkę

* * *

Nazajutrz, w godzinie wizytowej, Roman szedł zwolna wzdłuż miejskiej promenady, dążąc do pałacu Löwensternów.

Wiedział wprawdzie, że w tym czasie, Detlew będzie w gmachu giełdowym, nie pomiędzy tłumem wrzeszczącym tak nazwanych Talmi miljonerów, co to dziś błyszczą szychem, a jutro, trzęsą łachmanami, ale tam, gdzie się zbierają prawdziwi giełdy książęta, załatwiający przez płatnych ajentów wszelkie pieniężne interesa. Sami zaś rozpierają się w fotelach, prowadząc wesołą pogadankę o najnowszych w mieście skandalikach, ile który bankier płaci tej lub owej tancerce, przyczem rozbierają tych dam

wady lub przymioty fizyczne, tak zupełnie, jakby szło o folblutkę angielską lub arabską.

Z kolei krytykują lub wynoszą pod niebiosa, nogi, ręce, zęby i kibić, tej lub owej. Roman atoli chciał tym razem specjalnie złożyć wizytę siostrze swojego przyjaciela. O tem był najmocniej przekonany, że Detlew ujrzał by się u szczytu marzeń, gdyby mógł go szwagrem nazwać.

Powrót jego z wycieczki, upoważniał do powitania wszystkich znajomych dawniejszych. W duchu jednak przyrzekł sobie wysondować dokładnie Asty usposobienie, i zbadać na gruncie, czy nie łudzi się daremnie i nie goni za niedoścignionym celem, za marzeniem, które nigdy ziścić się nie może. Gdyby mu się tutaj powiodło szczęśliwie, mógł by zadrwić ze świata całego, i do karjery dyplomatycznej niczyjej by protekcji nie potrzebował. Wtedy mógłby czoło mężnie stawić całej rodzinie Althaus i na ich fochy nie uważać. Miljonerów każde państwo umie szanować i nie wysyła do Kafrów czy Hotentotów, ale szczyci się nimi tam, gdzie mogą, dzięki środkom pieniężnym, godnie toż państwo reprezentować.

Tak głęboko dumając, wszedł w główną parku aleję, prowadzącą do bramy pałacowej, gdzie hałas uliczny już tylko głuchem echem się odzywał, a w okół błoga cisza panowała, i drzewa stuletnie, niby w lesie, nad głową mu szumiały, chłodząc czoło rozpalone.

Liści szum i szelest tajemniczy wydawał mu się jakby powitaniem ze stron rodzinnych; budził błogie wspomnienia z lat dziecięcych, kiedy go w okół las dziewiczy otaczał. Gdy jednak podniósł w górę wzrok rozmarzony, nie spotkał się z żadnym przyjacielem domorosłym, po za którego pniem ukryty, strzelał za dni młodocianych wróble i inne drobne ptactwo, ze strzelbki dziecięcej. Dąb z korą gładką i świecącą, skąpo liściem pokryty, był dalekim krewniakiem naszego, wywodził jednak ród swój z południowej Ameryki: zamiast naszych klonów i jesionów o konarach szerokich i rozłożystych, sterczały wiotkie i prawie nagie platany zagraniczne: to co zdaleka na sosnę mu wyglądało, było w rzeczywistości arankarją, o gałęziach olbrzymich i szerokich jak łopaty. Na końcu parku sztucznego chwiały się krzaki mimozy zamiast zwyklej akacji, a z pomiędzy drzew świeciły mury nie szarą barwą, ale żółtym odcieniem piaskowca, który mimo iż niebo było chmurne dnia tego, zdawał się na wskroś przesiąknięty słońca jaskrawemi promieniami.

Po za parkiem był duży, okrągły trawnik, jak aksamit puszysty, w którym niby różnobarwne, drogie kamienie, lśniały kwiatów klombiki. I te jednak dzieci najcudniejsze, matki przyrody, patrzyły na przechodnia obco, ze zdziwieniem. Inne niebo pomalowało je tęczy barwami, ich strojne główki nie nawykły do mroźnych wichrów i szronu północy.

Z po za kwiatów kobierców, podnosił dumne czoło, świeżo wykończony pałac Löwensternów. Właśnie pod Romana nieobecność, sprzątnięto ostatnie rusztowania. Przez chwilę stał nieruchomy, w niewymownym zachwycie.

Jak śmiało strzelały w niebo kolumny marmurowe, zakończone i połączone fryzem z liści akantowych! Z jaką powagą majestatyczną na świat patrzały okna o dużych szybach zwierciadlanych, otoczone i u góry ozdobione sztukaterjami prześlicznego rysunku.

W oknach wisiały podwójne firanki, białe koronkowe i z brokatu, którym i meble były pokryte. Nic jednak nie zdradzało zamiłowań pałacu właścicielki. W salonie nie było kwiatów, nie stała na balkonie klatka złocona z papugą lub kanarkami, nigdzie żadnej z owych drobnostek kobiecych, nigdzie śladu robótki zaczętej lub sztalug z akwarellą. Ciszy uroczystej nie przerywał nawet dźwięk fortepianu.

W dolnym tylko apartamencie, czuć było życie namiętnie i bezładnie pulsujące. Okna były na oścież pootwierane. Tam mieszkał Detlew najniezawodniej. Na jednem z okien na pąsowej poduszce aksamitnej siedział Dżoko, ukochana Detlewa małpeczka, na drugiem grzał się w słońcu faworyt King-Charle, prześliczny piesek, mały jak pięść, z włosem długim i miękkim, jak u kozy tybetańskiej. Na stoliku pod oknem dymiła dotąd fajka na długim cybuchu z wiszni tureckiej, z pysznym bursztynem i torbeczką z aksamitu, szytą prawdziwemi perłami i koralami.

(C. d. n.)

Plotki lwowskie.

Gdy stary Jowisz rządził jeszcze światem, lepiej się działo dziatwie Apollina! Śmiercionośne jego strzały nie dozwalały lada chłystkowi naigrawać się z synów Parnasu, a prokuratorja jego patrzyła nie tyle na ich lojalność, ile na wartość rzeczywistą! Dziś czasy się zmieniły: — dziś lada Dykas zakłada studnię pod posągiem naszego wieszcza, a lada Kwieciński stara się jego utwór uscenizować. A niech cię gęś kopnie! Ładne czasy, śliczne czasy! Grzmij Jowiszu na świat cały, gdyż ja za mało mam na to siły!

Sądzę, iż nie będziecie mię nawet pytać, piękne czytelniczki, zkąd ten żółciowy humor dzisiejszy, lecz odpowiecie sobie same w duszy: wraca zapewne z uscenizowanego „Pana Tadeusza.“

Tak, wracam z „Pana Tadeusza“, gdyż redaktor (niech mu Pan Bóg tego nie pamięta) zmusił mię do tego zagrożeniem, iż w przeciwnym razie śpiewać go będę musiał, lecz nikomu z was nie życzę

tych czarnych myśli, jakie prześladowały mię po drodze.

Iść na przedstawienie uscenizowanego Tadeusza i tej Zosi, której ideał od lat dziecięcych wypieściliśmy w naszej duszy, na którą przyzwyczailiśmy się patrzyć nie jak na istotę z krwi i kości, lecz jak na ideał szlacheckiej polskiej dziewicy, jakiej ślad dawno zaginął, iść i patrzyć na wyblanszowaną aktorkę, przedstawiającą mi ten ideał, to już, darujcie, nie parodja — to wandalizm!

Tak, wandalizm, i od wyrażenia tego nie odstąpię ani na krok. W teatrze naszym urządzano nam już różne szopki, kazano nam patrzyć na kąpiele miss Wandy (w zasadzie nie mam nic przeciw temu), urządzano nam „Jasełka“, gdzie wszyscy święci występowali, uczono nas koziołków Phoitesów, nawet „Ogniem i mieczem“ kazano nam podziwiać, lecz nigdy się nie spodziewałem, by puszczono się na eksperyment tak ryzykowny.

Panu Kwiecińskiemu wolno było w czterech ścianach swego pokoiku uscenizować nawet... (darujcie, lecz brak mi nawet porównania), ale dyrekcja nie powinna nigdy zezwolić na wystawienie parodji najpierwszej naszej epopei nawet na benefis autora, a cóż dopiero zapowiadać na dnie następne przedstawienia tej barbarzyńskiej parodji.

O królu Janie Dobrzański, cóżeś ty uczynił?

Wierzę, że kasa teatralna zasili się przez tych dni kilka, że zanim ciekawa i nie umiejąca się orjentować publiczność połapie się cokolwiek, kilka tysiączek utonie w chudej kasie teatralnej, które moloch aktorski w mig rozszarpie, jednak próby takie w następstwach dużo mogą kosztować.

Publiczność, która na próbnem przedstawieniu beneficjanta i autora zapełniła z ciekawości salę aż po brzegi, zapewne wkrótce głośno zaprotestuje przeciw temu poniewieraniu świętości narodowych. „Pan Tadeusz“ jest dla nas dzisiaj świętością, jest pomnikiem sławy narodowej, przed którym każdy Polak z dumą ugnie kolano. Nie wolno przeto żadnym Wandalom tak dyrekcyjnym, jak autorskim, czy aktorskim urządzać sobie zabawek z ołtarzów sławy narodowej.

Kwieciński scenizuje „Pana Tadeusza“! Jowiszu grzmij na świat cały, gdyż ja za mało mam na to siły!

Et, straciłem cały humor! Rozpisałem się jak pensjonarka w liście do mateczki, zamiast na całą sprawę machnąć ręką z rezygnacją. Lecz gdyby która z was, piękne moje czytelniczki, usłyszała (nie chcę posądzać was byście słyszały) naprzykład tak wam dobrze znany koncert Jankiela, przedstawiony w ten sposób, że Jankiel wybija takt po deszczułkach, a z za kulis dochodzą pomieszane głosy fortepianu, fletu i dzwonków, to z pewnością dziwiłybyście się mnie, iż wołam jedynie tak spokojnie: Jowiszu grzmij na świat cały itd.

Chciałem właśnie zirytowany pożegnać się z wami na cały tydzień, gdyż brak jakoś tematu i humoru gdy w myśli się plącze to dzisiejsze przedstawienie, gdy przypomniałem sobie, iż należałoby przecie wspomnieć coś o tym leniwie wlokącym się karnawale. Całe wasze i moje szczęście, że dopiero jutro odbywa się bal literacki i znowu wesele unieszczęśliwionej Zosi. Musiałbym zapewne w dalszym ciągu wystąpić znowu w charakterze pessymisty, widzącego wszystko w czarnych kolorach. Brakowałoby chyba jeszcze kilka fotografij rzeźb na pomnik Mickiewicza, wykonanych podług projektu Matejki, a dostałybyście wraz ze mną żółtaczki!

Biedny, biedny ten Mickiewicz! Jowiszu grzmij na cały świat itd.

Ale, ale, wszak należy wam się jeszcze sprawozdanie z historycznego balu jednorocznych ochotników. Jak zapewne czytałyście wyrachował pewien sprawozdawca, iż na jedną danserkę wypadało sześć i pół dansera i trzy i siedm ósmych przypatrujących się sztabowców. Najciekawszym momentem była szósta figura kadrylowa, tańczona przy dźwiękach potpouri naszych narodowych melodyj: *Damen rechts — Herren links* (muzyka: Krakowiaczek ci ja, wesoły szczęśliwy) — *Damen links — Herren rechts* (muzyka: Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy).

Jowiszu grzmij na świat cały, gdyż ja za mało mam na to siły.

Plotkarz.

Korespondencja redakcji.

Wny L. Goł. w Wiel. Patrz pan na okładkę.

Ytnym we Lwowie: Za ten wiersz dalibóg „wytnym“!

Wna M. Wys. w Ostro. Łakomstwo łaskawa pani jest jednym z najpierwszych grzechów ludzkości i kara za nie w formie kilku dwudziesto-centówek nie wypadła zbyt srogo. Na przyszłość jednak staraniem naszem będzie i tę karę pani oszczędzić. Co się tyczy araku, to jakkolwiek zagadka nie była tak sformułowaną, nie radzilibyśmy próbować, gdyż „przestrzeń“ wówczas nie tylko staje się „siną“, lecz mieni się wszystkiemi kolorami tęczy. Za zagadkę serdeczne dzięki — użyjemy ją z małemi zmianami.

J. A. W. w Nowym Sączu. Musimy wpierw przeczytać nim damy odpowiedź.

Wna H. Czucz. w Łop. Serdecznie dziękujemy. Umieścimy w przyszłym numerze.

Wny Kal. w Stan. Piszesz pan:

Gdzie się cudny rozsiadł Krym,
Tam bym płynął, jechałbym....

Śliczny rym! — Jedź pan, jedź jak najprędzej.

Wna Marja Dzielińska w Laszkach: Antologja poetów polskich dzisiejszą pocztą została wysłana.

„Drukarnia Polska“ ulica Jagiellońska l. 16.